

CO PONIEDZIAŁEK
Z „WYBORCZĄ”

HISTORIA Z PRL-U: O CZŁOWIEKU,
KTÓRY SŁUŻYŁ WSZYSTKIM

NAJWIĘKSZY PRZYJACIEL
KRÓLOWEJ WIKTORII

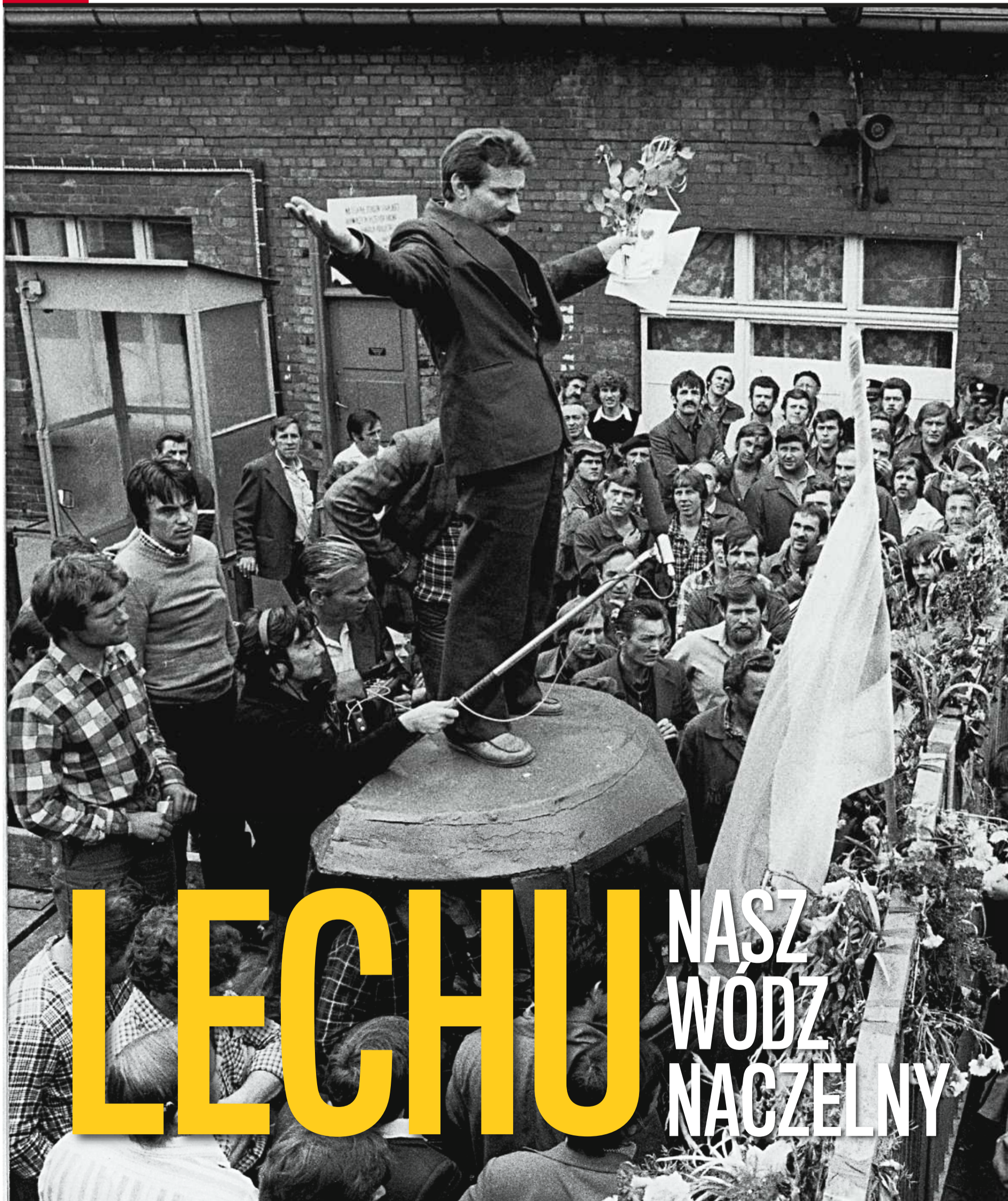
WAKACJE Z HISTORIĄ:
LĄDOWANIA NA KRECIE

wyborcza

ale **H**istoria

Nr 37 (294), Poniedziałek 11 września 2017 Tygodnik Historyczny

www.wyborcza.pl/alehistoria



LECHU NASZ
WÓDZ
NACZELNY

Lechu, nasz wódz naczelny

„To, co wam powiem, dobrzy ludkowie, to jest opowieść prawdziwa. Jest tam na stoczni wspaniały facet, co się Wałęsa nazywa” – śpiewano podczas strajków w sierpniu 1980 r.

ANNA MACHCEWICZ*

W sobotę 23 sierpnia 1980 r. o godz. 20 pod bramą Stoczni Gdańskiej zatrzymał się autokar, z którego wysiedli wicepremier Mieczysław Jagielski i inni członkowie delegacji rządowej. Gdy szli przez szpaler stoczniovców, ci patrzyli na nich w milczeniu. Na powitanie wyszedł Lech Wałęsa. Dla kontrastu tłum zaczął skandować jego imię.

„Przez następny tydzień stoczniovcy radiowęzeł informował przez głośniki, co się dzieje w Stoczni Gdańskiej, gdzie obraduje komisja rządowa z Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, na czele z umiłowanym przez naród Lechem Wałęsą” – wspominała parę tygodni później Czesława Rajewska, gdyńska, rencistka. Od 15 sierpnia albo chodziła pod bramę strajkującej gdyńskiej stoczni Nauta, w której pracowała całe życie, albo pielgrzymowała do Stoczni im. Komuny Paryskiej lub Stoczni Gdańskiej. Wyciągała ręce po ulotki, uczestniczyła w mszach, śpiewach, modlitwach i jak inni z napięciem czekała na rozpoczęcie, a potem na wynik rozmów.

Od ogłoszenia strajku do podania nazwiska przewodniczącego MKS w trójmiejskiej prasie minęło 10 dni. W tym czasie Wałęsa, prosty robotnik z Gdańska, wyrósł na lidera strajku zmieniającego się w ogólnopolski ruch społeczny. Został bohaterem audycji Radia Wolna Europa, chyba wszystkich zachodnich mediów, a także balad i wierszy.

Zwolnienie, które uruchomiło lawinę

„Strajki będą znów, najpóźniej jesienią”, przekonywał Jacek Kuroń na jednej z narad KSS KOR w końcu lipca 1980 r., gdy wygasły strajki na Lubelszczyźnie. Ale w Stoczni Gdańskiej nastrojów strajkowych się nie czuło. Tak przynajmniej uważali trzej stoczniovcy, którzy stanowili tu opozycyjny przywódca Wolnych Związków Zawodowych - Bogdan Felski, Jerzy Borowczak i Ludwik Prądzyński. Znaleźli się w opozycji z własnej inicjatywy, odszukawszy Andrzeja Gwiazdę albo Bogdana Borusewicza, dzięki adresom wydrukowanym w podziemnym „Robotniku Wybrzeża”. Uczestniczyli w spotkaniach, na których słuchali i uczyli się, bo „takiej wiedzy w szkole nie dostali”. Gdy mowa była o Grudniu '70, analizowali taktykę prowadzenia strajku, a zwłaszcza to, czego nie należy robić. „Przed wszystkim nie należy wychodzić na ulice, tylko jak jest strajk, trzeba trzymać ludzi w zakładzie - tłumaczył Borowczak - bo gdy wyjdziemy na ulice, tłum jest nie do opanowania. To była rzecz podstawowa”. Takie przekonanie wynieśli bezpośredni uczestnicy tamtego protestu - Lech Wałęsa, Anna Walentynowicz, Henryk Lenarciak i starsi robotnicy w tym gronie.

Nasi trzej stoczniovcy mieli jednak po dwadzieścia parę lat, w gdańskiej Stoczni im. Lenina pracowali krótko, nie mieli ugruntowanej pozycji w załodze. Poza tym w stoczni nie było chęci do strajku...

Trzeba było czekać na okazję. 9 sierpnia 1980 r. Anna Walentynowicz odebrała w stoczni ostatnią wypłatę, która należała się jej od chwili utraty pracy. „Nie wygrasz, to walka z wiatrakami” - usłyszała wtedy od urzędniczki. O decyzji dyscyplinarnego zwolnienia z art. 52 kodeksu pracy, stosowanego wobec osób naruszających swe obowiązki, dowiedziała się dwa dni wcześniej. Nie ujął się za nią żaden z kolegów z wydziału. Urzędniczka jednak nie miała racji, a zwolnienie pani Ani uruchomiło lawinę zdarzeń.

Rankiem 3 sierpnia, po odbyciu trzymiesięcznego wyroku, więzienie opuścili dwaj gdańscy opozycjoniści Dariusz Kobzdej i Tadeusz Szczudłowski, a kilka dni później na ich cześć odbyło się przyjęcie. Wśród kilkudziesięciu uczestników była także Anna Walentynowicz, która opowiedziała o swoim zwolnieniu, czym poruszyła zebranych. „Bogdan Borusewicz wywołał nas na zewnątrz - wspominał Borowczak - mnie, Wałęsę i Bogdanę Felskiego. No to coś trzeba postanowić, ale powiem szczerze, że nawet wśród nas nie było atmosfery strajkowej. Rozeszliśmy się”.

Gdy wieczorem Borowczak wrócił z przyjęcia do domu, usłyszał stukanie w okno. „To był Bogdan Borusewicz. I pyta mnie: »No to co, robimy ten strajk czy nie robimy tego strajku?«. Ja mówię: »Bogdan, kurde, pracuję w stoczni jako samodzielny pracownik cztery miesiące. Nie znam tam ludzi, co ja mogę zrobić?«. On mówi: »Chodź, pogadamy«. Mówię: »Słuchaj, jeśli ten strajk ma być, to musi ktoś tym strajkiem dowodzić«. Borusewicz mówi: »Musí to być Lech«”.

Plan był taki, żeby wywołać strajk, zanim stoczniovcy zaczną pracę, jeszcze w szatniach. Potem mieli poprowadzić ich pod historyczną bramę, gdzie rozegrał się dramat Grudnia '70, i uczcić pamięć ofiar minutą ciszy. Tam też miał czekać Wałęsa.

Czy pan mnie pamięta?

O świcie działacze WZZ wręczali w różnych miejscach jadącym do pracy stoczniovcom pakiet: ulotkę w sprawie zwolnienia pani Ani podpisaną przez gdański WZZ i lipcowy numer KOR-owskiego „Robotnika”. Przed szóstą do pracy dotarli Borowczak i Prądzyński. Felski trochę się spóźnił. Na wydziałach czekał już tłum stoczniovców. Za kilkanaście minut miała się zacząć odprawa brygad do pracy.

Prądzyński zdolał podejść do pięciu, sześciu osób i rozpocząć agitację. Na wyrost przekonywał, że cała stocznia już stoi i oni też muszą zatrzymać pracę, by bronić Anny Walentynowicz i upomnieć się o podwyżkę. Felski przyłączył się do agitacji, rozrzucając na prawo i lewo ulotki. Ktoś chwycił plakat z postulatami, umocował na żerdziach i ustawił w widocznym miejscu. Transparent przyciągnął uwagę, coraz więcej było wiecujących. „Sami byliśmy, Wałęsy też nie było. Miał być, nie ma. Może go zamknęli, licho go wie co” - zapamiętał Prądzyński.

Borowczak rozdał ulotki w szatni, koledzy od razu go poparli: „Zabraliśmy kilkadziesiąt, może 100 osób z mojego wydziału, niektórzy już zaczęli pracę, ale powyłączali maszyny. (...) Szliśmy przez stocznnię i krzyčeliśmy: »Chodźcie z nami!«. Ludzie się przyłączali, brali ulotki (...)”.

Około siódmej pochód ruszył dalej i zagarnął kolejne wydziały. Gdy dotarł do placu w pobliżu historycznej drugiej bramy, liczył już kilka tysięcy osób. Tutaj przystanął, odśpiewano hymn, a potem stoczniovcy uczyli minutą ciszy poległych w grudniu 1970 r.



31 sierpnia 1980 r. o godzinie 16.40 w Sali BHP Stoczni Gdańskiej Lech Wałęsa w imieniu MKS-u podpisał porozumienie z delegacją rządową. Chwilę później wychylił się nad Bramę nr 2 z plikiem kartek, wołając: „Mamy swoje niezależne, samorządne związki zawodowe!”, odpowiedział mu potężny okrzyk: „Dziękujemy!”.

Z prawej od góry: Anna Walentynowicz z doradcami strajku, od lewej: Bronisławem Geremkiem, Tadeuszem Kowalikiem, Jerzym Stembrowiczem, Andrzejem Wielowieyskim, Janem Strzeleckim, Bohdanem Cywińskim i Tadeuszem Mazowieckim.

Poniżej na zdjęciu z 31 października 1980 r. Bogdan Borusewicz rozmawia z Anną Walentynowicz, w głębi widać Andrzeja Celińskiego (w okularach).

„Czekamy, patrzemy, gdzie jest Leszek?” - opowiadał dalej Borowczak. „Zgodnie ze scenariuszem trzeba wybrać komitet, trybuny nie ma, rozglądamy się na prawo, lewo. Po lewej kiosk. Ja mówię do Prądzyńskiego: »Na kiosk nie, bo kobieta się jeszcze wystraszy, jak na dach wejdziemy. Ale po prawej stronie, zobacz, spycharka«. I z tej maszyny zrobiliśmy sobie naszą trybunę, żeby do ludzi przemawiać. Wybieramy komitet strajkowy spośród tych, którzy byli. Zgłosiło się kilkanaście osób, ludzie podawali na kartkach różne postulaty. Przyszedł dyrektor i zaprasza komitet do siebie na rozmowę. A do reszty mówi: »Niech majstrowie zabierają swoich ludzi do pracy, będziemy informować was na bieżąco, co u mnie w gabinecie będzie się działo«. I ludzie rzeczywiście zaczęli się rozchodzić. W tym momencie na koparkę wszedł Lech Wałęsa. Pamiętam jego pierwsze energiczne słowa: »Panie dyrektorze, czy pan mnie jeszcze pamięta? Dziesięć lat przepracowałem na stoczni, zanim zostałem zwolniony«”.

Skok przez płot

W tym miejscu należy cofnąć opowieść o parę godzin. Wałęsa miał być o siódmej, przybył dwie, trzy godziny później. W jednym z najwcześniejszych zapisów wspomnień, pochodzącym jeszcze z pierwszej połowy lat 80., mówił, że zanim wyszedł z domu, usłyszał stoczniovcy syreny, stąd wiedział, że strajk się zaczął. Wyruszył ze Stogów tramwajem, widząc, że - jak co dzień - jedzie z nim samochód z tajnikami z SB. „Nie wierzyłem, że uda mi się dojść do stoczni” - wspominał. „O naszych przygotowaniach do strajku było dość głośno”. Ryzyko, jakie ponosił, wchodząc na teren zakładu, którego nie był pracownikiem, bez przepustki, przyłączając się do próby wywołania strajku, ze swym pokaźnym dorobkiem opozycyjnym, związkiem z KSS KOR, piętnem bezrobotnego, było ogromne. Ryzykował utratę wolności i narażał przyszłość najbliższych. Kilka dni wcześniej został ojcem szóstego dziec-

ka. Czy można wyobrazić sobie trudniejszy moment do podjęcia działania, które łatwo mogło skończyć się klęską? Czy spóźnił się, ponieważ chciał mieć pewność, że strajk nabral rozpędu na tyle, że jego obecność może go tylko wzmocnić, a nie niepotrzebnie obciążyć? Kalkulacja strat i zysków jest zaletą, nie wadą. Gdy zjawiał się w stoczni, widać było, że panuje tam zamieszanie i wejście do akcji ma sens.

Kwestia miejsca, w którym Lech Wałęsa przeskoczył ogrodzenie, wzbudzała wiele emocji, ale wydaje się drugorzędna. Pewne, że wszedł na teren stoczni nielegalnie i narażał się na wszystkie tego konsekwencje.

Pozostaje pytanie, dlaczego mimo inwigilacji nie został aresztowany. Adam Kinaszewski, dziennikarz, który przeprowadził wiele wywiadów z Wałęsą, w 1990 r. odszukał świadka skoku przez stoczniovcy ogrodzenie - funkcjonariusza SB ze śledzącej go ekipy. Chorąży Krzysztof Adamski przyznał, że choć meldował przez radiotelefon, dokąd zmierza Wałęsa, nie otrzymał rozkazu zatrzymania go. Tłumaczył to przypadkowym chaosem - w biurze właśnie następowała zmiana dyżuru.

Przy bramie wielu starszych robotników, weteranów strajku z 1970 r., rozpoznało Wałęsę. Wśród nich koledzy z W-4: Henryk Lenarciak, Henryk Jagielski, Paweł Szyryn i najmłodszy z nich Jan Pydyn, który w 1970 r. odbywał służbę wojskową i znalazł się po drugiej stronie bramy. Na wiecu był też Zbigniew Lis, który pracę w stoczni zaczął jako 14-latek w 1960 r. Przyznał, że strajk go zaskoczył. „Ja ani o strajkach w Lublinie, ani innych zakładach niestety nie wiedziałem” - wspominał.

Wałęsę zobaczył tego dnia pierwszy raz i jest przekonany, że gdyby nie poparcie, jakiego udzielili mu starsi stoczniovcy, strajk mógłby wygasnąć równie szybko, jak się zaczął.

W Komitecie Strajkowym wyłonionym pod koparką znalazło się kilkanaście osób, wśród nich ludzie starsi wiekiem, z autorytetem u robotników. Wkrótce dołączyła Anna Walenty-



ARCHIWUM ANDRZEJA FRISZKE



STEFAN KRASZEWSKI / PAP

nowicz. Komitet na naradę przeniósł się do pobliskiej stołówki, a dyrektor wycofał się do swego gabinetu, by czekać na delegację z postulatami załogi. Od tej chwili Lech Wałęsa pełnił funkcję szefa komitetu strajkowego.

Lider

W grudniu 1979 r. Wałęsa przemówił do ludzi pod bramą Stoczni Gdańskiej, by uczcić pamięć ofiar Grudnia '70: „Proszę wszystkich, by każdy na przyszłą rocznicę przyniósł ze sobą kamień. Jeśli wszyscy przyniosą po jednym, na pewno zbudujemy pomnik. Będzie to pomnik niezwykły, ale i sytuacja była niezwykła. Władza ludowa strzelała do ludu swego”. W sierpniu nikt nie pamiętał tamtego przemówienia, przetrwało tylko dzięki archiwum SB. Spontaniczne, ale i magnetyczne przemówienie Wałęsy dowodziło umiejętności dobierania właściwych słów i wygłaszania ich z pasją. Gdy 14 sierpnia 1980 r. wszedł na koparkę i zapowiedział dyrektorowi stoczni, że zaczyna się strajk okupacyjny, znany był z nazwiska być może kilkudziesięciu osobom w wielotysięcznym tłumie.

Przywódca nie rodzi się jednak nagle, ale dojrzewa w sprzyjających okolicznościach. So-

cjologowie i psychologowie społeczni pytają od dziesięcioleci, po co grupie lider. I doszli do wniosku, że grupy nie wylaniają swojego lidera zawsze, lecz kiedy wynikające z tego korzyści przeważają nad stratami, gdy trzeba koordynować zadania i bronić swego istnienia.

Co sprawia, że wybrana zostaje ta, a nie inna osoba? Niewiele mówiące pojęcie „urodzonego przywódcy” badacze uzupełnili teorią, że jednostka zostaje liderem, gdy ma cechy, które umożliwiają objęcie i utrzymanie władzy. Grupa podporządkowuje się takim osobom, które uważa za kompetentne merytorycznie, ale też społecznie, bo obdarzone są umiejętnością słuchania innych.

Wałęsa lider narodził się w pierwszych dniach strajku, jeszcze zanim stał się on ogólnopolskim protestem. Dał się poznać jako zdolny negocjator, z wyczuciem reagował na potrzeby swoich „podopiecznych”. Rzecz jasna wspomagał go członek komitetu strajkowego, obecni w stoczni towarzysze z opozycji, ale to on negocjował w imieniu stoczniowców i zdobył to, czego pragnęli.

Gdy 18 sierpnia 1980 r. okazało się, że strajk trwa i się rozrasta, to on poprowadził poranny

wiec i został wysłuchany. Określone zostały nowe cele (ale nie metody) walki, a Wałęsa z kapitałem zaufania zebrany w trakcie minionych dni nadal był dobrym kandydatem na lidera. Był zwykłym robotnikiem i ojcem wielodzietnej rodziny, co zwielaokrotniło jego wiarygodność w oczach równych mu wykształceniem, a także zwiększało wiarę w jego bezinteresowność, przewidywalność, umiarkowaną skłonność do ryzyka.

Wyszkowski: Chwała należy się Wałęsie

Dla władz pojawienie się takiego przywódcy było wyzwaniem. Trudno było wpisać Wałęsę w propagandowy schemat opozycji przedstawianej jako obce ciało wykorzystujące do niecnych celów słuszny robotniczy gniew. Po niedzielnej mszy 17 sierpnia, odprawionej pod bramą stoczni, tajny współpracownik donosił: *W drodze powrotnej na teren stoczni idąca przy Wałęsie kobieta w średnim wieku zaczęła głośno krzyknąć, że Lech Wałęsa ma trudne warunki mieszkaniowe, gdyż mieszka z żoną i 6 dziećmi w dwóch pokojach, ma kłopoty z zatrudnieniem, nie wiadomo, czy po zakończeniu strajku nie będzie w dalszym ciągu szykanowany, na co ludzie zareagowali okrzykiem: „Nie damy Wałęsy, nie pozwolimy go skrzywdzić!”.*

Podczas rozmów z komisją rządową ludzie dumą przepelniało to, że przedstawiciele władzy rozmawiali z robotnikiem jak równy z równym, że wicepremier zwracał się do ich kolegi per panie przewodniczący.

Śława Wałęsy powodowała, że stał się też bohaterem rozmaitych plotek będących zapewne mieszaniną propagandy, świadomej dezinformacji SB, ludzkiej wyobraźni i zawiści. „W czasie trwania strajku Wałęsa nabył samochód marki Fiat za obcą walutę, którą otrzymał z zagranicy, a jego żona zaopatruje się tylko w pewexie” - opowiadali niektórzy. *Radio Londyn miało podać jego [Wałęsy] życiorys, z którego wynikało, że jest on osobą ze skłonnościami do kariery, że w przeszłości był karany za przestępstwa pospolite - zanotowano w sprawozdaniu SB. Jeden z tajnych współpracowników donosił, że niektórzy robotnicy nazywają Wałęsę „Chomeinim”. Porównanie do duchowego i politycznego przywódcy Iranu, który półtora roku wcześniej proklamował powstanie państwa islamskiego, wydaje się interesującym sygnałem obaw albo tylko zaskoczenia otwartą religijnością przywódcy strajku.*

Pod koniec strajku pozycja Wałęsy jako przywódcy nawet kontestatorom wydawała się niepodważalna. *Większość robotników Budimoru jest zadowolona z zapewnień o podwyższeniu krajowej podstawy artykułów, w szczególności mięso - donosił informator SB - i w związku z tym chciałoby zakończyć strajk, lecz nie mogą, gdyż dopiero Leszek Wałęsa powie, że mają iść do pracy, to pójdą, zależne jest to tylko od niego.*

Ta pozycja była wypadkową wielu czynników, wśród których słuch społeczny i umiejętność szybkiego reagowania na rozmaite sygnały płynące z tłumu odgrywały niebagatelną rolę. Charyzmę Wałęsy doceniali też jego współpracownicy z opozycji. Krzysztof Wyszkowski, jeden z założycieli WZZ, w 1990 r. w rozmowie z dziennikarzem Grzegorzem Nawrockim przyznał Wałęsie buławę wodza za czas sierpniowego strajku: *Nasza rola, WZZ-etów, nie była rolą szarych eminencji, była raczej waż-*

na, ale zasadniczy ciężar spoczywał w rękach Wałęsy i chwała zwycięzcy, lidera, jemu się bezdyskusyjnie należy. Bogdan Borusewicz wspominał: „Wałęsa umiał podejmować szybkie decyzje, lepiej niż ktoś taki jak ja, inteligent, nieustannie dzielący włos na czworo”.

Kucharz warzy zupy

Zarówno do organizacji strajku, jak i do negocjacji stała się cała drużyna ludzi, których zaangażowanie i poczucie odpowiedzialności były ogromne. Wałęsa tak je przedstawiał: „Zawsze stawiam się w sytuacji przeciwnika, oceniam jego możliwości, przewiduję jego reakcje. Tym sposobem znalazłem odpowiedź władzy w przypadku, gdyby na prowadzenie strajku wyszli ludzie określani jako »sily antysocjalistyczne«. I w większości ludzie też ją znali. A więc musiałem się stać głównym kucharzem tej zupy, dobierać składniki, tak żeby się nie zwarzyła, żeby była ciągle strawna dla wszystkich”.

Mówił w pierwszej osobie, ale dylemat dotyczył wszystkich, którzy kierowali strajkiem, prowadzili negocjacje, wzięli odpowiedzialność za los tysięcy ludzi. Wśród negocjatorów znaleźli się ludzie, którzy odzwierciedlali różnorodność wieku, płci, wiedzy, doświadczenia i wykształcenia. W Prezydium MKS byli robotnicy i majstrowie - Anna Walentynowicz i Henryka Krzywonos, Lech Wałęsa, Andrzej Kołodziej i Bogdan Lis, Stefan Izdebski, Jerzy Kmiecik, Zdzisław Kobylński, Stefan Lewandowski, Józef Przybylski, Jerzy Sikorski, Lech Sobieszek, Tadeusz Stanny i Florian Wiśniewski - oraz inteligenci - Alina Pienkowska, Andrzej Gwiazda, Wojciech Gruszecki, Lech Bądkowski. Komisje ekspertów tworzyli: Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek, Jadwiga Staniszkis, Bohdan Cywiński, Andrzej Wielowieyski, Waldemar Kuczyński i Tadeusz Kowalik. To tylko nazwiska ludzi, którzy z racji oficjalnych funkcji zostali wystawieni na publiczny widok i osąd.

W niedzielę 31 sierpnia 1980 r. o godzinie 16.40 podpisanie porozumień z Sali BHP transmitowały telewizja w Polsce oraz stacje telewizyjne demokratycznego świata. Lech Wałęsa przeczytał przemówienie, którego autorem był Bronisław Geremek.

Lider wielkiego strajku zwrócił się kurtuazyjnie do Mieczysława Jagielskiego: „Panie premierze! Cieszymy się, że nasze rozmowy, trudne na początku, przebiegały potem w duchu coraz lepszego zrozumienia”. Ale potem mówił już do wszystkich, którzy strajkowali i wspierali strajk: „Kochani! Wracamy do pracy 1 września. Wszyscy wiemy, co ten dzień nam przypomina, o czym w tym dniu myśleliśmy - o ojczyźnie, o sprawie narodowej, o wspólnych interesach rodziny, która nazywa się Polska. Myśleliśmy o tym wiele w czasie naszego strajku. Właśnie o tym myśleliśmy, kończąc strajk”.

Kilkanaście minut później Mieczysław Jagielski opuścił stocznice. Czekają pod nią tłumy. Gdy nad Bramę nr 2 wychylił się z plikiem kartek w rękę Lech Wałęsa i zawołał: „Mamy swoje niezależne, samorządne związki zawodowe!”, odpowiedział mu potężny okrzyk: „Dziękujemy!”.

Potem, w ciągu dwóch godzin, Stocznia Gdańska opustoszała. ●

***ANNA MACHCEWICZ** - historyk dziejów najnowszych, dziennikarka, autorka m.in. książek „Bunt. Strajki w Trójmieście. Sierpień 1980” i „Kazimierz Moczarski. Biografia”

REKLAMA

Co nowego w portalu historycznym Histmag.org?

- Faszizm i nowoczesność
- Siergiej Prokudin-Gorski: barwny portrecista carskiej Rosji
- Czy każdy powinien pisać o historii?
- Jazz - muzyka dwudziestolecia
- Helen Duncan - ostatnia czarownica Wielkiej Brytanii
- Niemcy patrzą na Wojsko Polskie we Wrześniu



<http://histmag.org>
Łącząc nas historia!

Portal jest partnerem tygodnika **alehistoria**

TYDZIEŃ W HISTORII 11-17.09

11.09.1777 r. PUŁASKI ŻOŁNIERZ BIEGŁY


W czasie wojny o niepodległość Ameryki 32-letni wtedy Kazimierz Pułaski wykazał się męstwem i wojskowym kunsztem podczas toczonych z Brytyjczykami bitwy nad Brandywine niedaleko Filadelfii. Ten wybitny partyzant konfederacji barskiej po jej upadku wyjechał na emigrację, w 1777 r. znalazł się w Stanach. Obserwował przebieg bitwy u boku gen. Jerzego Waszyngtona. Podczas odwrotu Amerykanów stanął na czele 30 kawalerzystów z jego straży przybocznej, uderzył na oddziały wroga, opóźniając ich napór, i być może uratował Waszyngtonowi życie. Ten 15 września awansował go na generała kawalerii. Pułaski zmarł dwa lata później od ran odniesionych podczas szturm na Savannah.

12.09.1959 r. CARTWRIGHTOWIE W NASZYCH DOMACH


Amerkańscy widzowie obejrzeli pierwszy odcinek wyprodukowanego przez telewizję NBC westernowego serialu „Bonanza”. Przez 14 lat było tych odcinków 431. Widzowie z zapalem śledzili perypetie owdowiałego farmera, szlachetnego Bena Cartwrighta (Lorne Greene), i jego dzielnych synów: Adama (Pernell Roberts), Erica „Hossa” (Dan Blocker; z powodu jego śmierci w 1972 r. produkcję zakończono) i „Małego Joe” (Michael Landon), mieszkających na ranczu Ponderosa. TVP pokazywała serial od połowy lat 60. W czasach PRL-owskiej szarzyzny emisja każdego odcinka była świętem, a odtwórcy głównych ról wydawali się, zwłaszcza młodym widzom, postaciami z aktorskiego olimpu.

13.09.1866 r. PREZYDENT PRZEZ DUŻE P


Prezydentem Krakowa został Józef Dietl, działacz społeczny, znakomity lekarz internista. Był u nas pionierem balneologii, spopularyzował jako uzdrowiska Krynice czy Rabkę. Autor licznych prac na temat anatomii patologicznej i medycyny wewnętrznej (m.in. rozprawy, która zdobyła rozgłos na świecie, „O leczeniu zapalenia płuc bez upustu krwi”). W latach 1851-65 profesor UJ, od 1861 r. jego rektor. Kiedy został prezydentem (urząd sprawował do 1875 r.), Kraków był miastem brudnym i zaniedbanym. Dietl m.in. rozwinął sieć wodociągów, uporządkował Planty, przygotował plany odbudowy Sukiennic. Z osiągnięć jego prezydentury krakowianie i przyjezdni korzystają do dziś.

14.09.1906 r. HOLENDRZY MASAKRUJĄ BALI


Rozpoczęła się kolejna holenderska interwencja na Bali. Holendrzy już wcześniej podbili północną część wyspy, teraz zaatakowali południową, lądując na plaży Sanur. Ich marsz w głąb lądu był znaczący krwią. W mieście Denpasar koło pałacu królewskiego wyszła im naprzeciw procesja z radzą na czele. Dał on znak kapłanowi, a ten wbił sztylet w jego pierś; pozostali uczestnicy procesji też się nawzajem zabijali (rytuał puputan – lepiej zginąć, niż się poddać). Podobne zbiorowe samobójstwo Balijszczyk popełnili w innym pałacu w Denpasarze – Pemecutan. A tam, gdzie stawiali opór, ginęli od holenderskich kul. Interwencja w 1906 r. i kolejna w 1908 r. umocniły holenderskie panowanie na wyspie. Do czasu.

15.09.1454 r. KRÓL PRZYPARTY DO MURU


Przymuszony przez szlachtę wielkopolską król Kazimierz IV Jagiellończyk wydał przywilej zwany cerekwickim. Zgromadzona w obozie pod Cerekwicą koło Chojnic szlachta zgodziła się na udział bez zapłaty w rozpoczętej właśnie wojnie z Krzyżakami. Król zaś zobowiązał się m.in., że nie będą ustanawiane nowe prawa ani powoływane pospolite ruszenie bez zgody sejmiku ziemskiego, co było wymierzone w możnowładców wielkopolskich zasiadających w radzie królewskiej oraz w dominujących w niej panów małopolskich. Przywilej dotyczył tylko Wielkopolski, ale większość jego zapisów przejęły statuty niesławskie wydane przez Kazimierza kilka miesięcy później dla szlachty poszczególnych ziem Polski.

16.09.1934 r. TO BYŁ REJS!


Żaglowiec szkolny „Dar Pomorza” wypłynął z Gdyni w rejs dookoła świata pod dowództwem kpt. Konstantego Maciejewicza. Zbudowany w latach 1909-10 w Hamburgu dla niemieckiej marynarki handlowej zmieniał właścicieli, w końcu w 1929 r. kupił go Polski Komitet Floty Narodowej, m.in. za pieniądze zebrane przez mieszkańców Pomorza. Od tej pory znajdował się w rękach polskich (w latach II wojny internowany w Szwecji), ostatni rejs odbył w 1981 r. Szlak rejsu dookoła globu wiodł przez Atlantyk, Kanał Panamski, Japonię, Australię i wokół Afryki, wreszcie do macierzystego portu w Gdyni, gdzie żaglowiec przycumował 3 września 1935 r. Wyjątkowa wyprawa trwała prawie rok.

17.09.1179 r. ŚMIERĆ WIELKIEJ MISTYCZKI


W klasztorze w Rupertsbergu koło Bingen am Rhein zmarła Hildegarda z Bingen, wizjonerka, lekarka, kompozytorka, poetka, od 2012 r. doktor Kościoła, zwana Sybillą z nad Renu. Urodzona w 1098 r., zakonnica od ósmego roku życia, od 1136 r. aż do śmierci przełożona zakonna. Spośród jej dzieł literackich najważniejsze to „Liber divinorum operum simplicis hominis” – synteza jej wiedzy m.in. teologicznej, o fizjologii człowieka i o kosmosie. Jej wokalne kompozycje religijne to zbiory „Symphonia armonie celestium revelationum” i „Ordo virtutum” zbliżone do chorału gregoriańskiego. Fascynuje artystów – Margarethe von Trotta nakręciła o niej film z Barbarą Sukową w roli głównej.

JAN CYWIŃSKI

Wszystkie żywoty

Jego życie było poplątane jak historia Polski w XX w. Dawni koledzy z ONR narzekali, że był taki porządny, a został komunistą. On sam jednocześnie tropił ludzi podziemia i ostrzegał ich przed niebezpieczeństwem. Był Konradem Wallenrodem, ale trudno stwierdzić, po czyjej stronie. To Waclawa Alchimowicza ubecy wykorzystali do rozpracowania grupy Witolda Pileckiego.

MAGDALENA SUCHODOLSKA

Przy aresztowaniu przeprowadzono dwie rewizje - osobistą i w mieszkaniu na Szerokiej w Warszawie, gdzie mieszkał z żoną, matką i dwójgim małych dzieci. Przy sobie miał notatki na 23 karteluskach, zeszyt do matematyki, lusterko, grzebyk, dwie prezerwatywy i trochę pieniędzy. Na Szerokiej śledczy znaleźli trzy ruble w zlocie, sowieckie odznaczenia i broń - niemiecki pistolet Sauer 38H z amunicją.

Wszystko trafiło do depozytu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Potwierdzenie odbioru pozostało puste.

Żywoć pierwszy

Waclaw Alchimowicz urodził się w maju 1914 r. w Kramniku, małej wsi na polsko-pruskim pograniczu, w majątku odziedziczonym przez matkę i jej siostrę. Kiedy miał 10 lat, rodzina sprzedała należącą do niej część podupadłego gospodarstwa i przeniósł się do pobliskich Suwałk. Jako 18-latek Alchimowicz zaczął działać w Obozie Narodowo-Radykalnym. Początkowo było ich kilku - koledzy z gimnazjum. Stopniowo organizacja się rozrastała na inne suwalskie placówki. Waclaw odpowiadał za organizację grup na terenie szkół rzemieślniczych i handlowych. Podobno tworzył też bojówki do rozbijania pochodów pierwszomajowych i wieców Stronnictwa Ludowego. Wstępując do wojska, jak twierdził, zdecydował się zerwać z działalnością polityczną.

Jako podchorąży 3. Pułku Artylerii Ciężkiej służył w Wilnie, a po wyjściu z wojska wstąpił na Wydział Rolny tamtejszego uniwersytetu, gdzie poznał studentkę medycyny i przyszłą żonę Olgę. Naukę przerwał, gdy jako oficer rezerwy dostał powołanie w związku ze zbliżającą się wojną.

Po kampanii wrześniowej nie dał się zamknąć w obozie jenieckim i z Częstochowy, gdzie znalazł się ze swoim oddziałem, przedostał się z powrotem do Wilna. Miasto od 10 października 1939 r. znajdowało się pod władzą litewską, ale uniwersytet działał. Kiedy go zamknięto, studentów rozesłano do pracy. Alchimowicz aż do wkroczenia Armii Czerwonej w lipcu 1940 r. był robotnikiem rolnym w powiecie Jeziorosy na północno-wschodnich krańcach Litwy. Władza radziecka zatrudniła go do budowy dróg, ale zimą udało mu się kolejny raz wrócić do Wilna.

Kiedy w czerwcu 1941 r. miasto zajęli Niemcy, Olga wyjechała do rodziny do ówczesnej Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Pod koniec października Alchimowicz dołączył do niej w miasteczku Wasiliszki w dawnym województwie nowogródzkim. Teść był tam nauczycielem, a on zatrudnił się najpierw w urzędzie skarbowym, a potem jako pomocnik sekretarza regionu. Na początku kwietnia 1942 r. nawiązał współpracę z Armią Krajową.

Żywoć drugi

Nowogródzki Okręg AK, inaczej niż na terenie Generalnego Gubernatorstwa, walczył z podwójnym wrogiem - Niemcami i sowiecką partyzan-

tką, bądź co bądź sojusznikiem. Ta walka była trudna, bo toczyła się na terenach zróżnicowanych etnicznie, a miejscowa ludność często wspierała sowieckich oraz litewskich przeciwników.

Alchimowicz początkowo był zastępcą, a od lata 1942 r. komendantem kompanii „Pastwisko” w Wasiliszkach, z którą przeprowadzał akcje sabotażowo-dywersyjne. Podczas jednej z nich - ataku na posterunek żandarmerii - został ranny. W marcu 1943 r. komendant okręgu Janusz Prawdzic-Szlaski pozbawił go jednak dowództwa kompanii, ponieważ podejrzewał go o kontakty z Sowietami. Podejrzewania były słuszne, Alchimowicz utrzymywał je co najmniej od sierpnia 1942 r., a całkiem możliwe, że od początku był agentem Ludowego Komisariatu Bezpieczeństwa Państwowego (NKGB) i pomagał rozpracowywać struktury podziemia.

Wiosną 1943 r. przez Nowogródzczyznę przetoczyła się fala morderstw popełnianych na żołnierzach AK i ich rodzinach. Zamachy przeprowadzane przez sowiecką partyzantkę miały charakter planowy, a ich celem było osłabienie polskiego podziemia. Do zbrodni doszło krótko po tym, jak Alchimowicz zmienił strony.

To, czy stał za nimi, nie jest pewne, bo podejrzewano też jego znajomego Witolda Szmigierę (po wojnie, jak wielu, zmienił imię i nazwisko), który kierował lokalną komórką wywiadu AK, ale był również w dobrej komitywie z władzami niemieckimi. Wiosną 1943 r. zastrzelony został oficer AK Józef Taraszkiewicz, jednak jego towarzysz, por. Mieczysław Wierszyło, przeżył atak i na łożu śmierci o zamach oskarżył właśnie Szmigierę. Miał on mieć romans z żoną innego rannego w zamachu oficera wywiadu AK - „Wiesława II”. Gdy więc po kilkunastu dniach zginął i „Wiesław II”, Szmigiero został skazany przez wojskowy sąd specjalny na karę śmierci. Udało mu się jednak zbiec do Wilna. W sprawie zabójstwa akowców miał być również zamieszany Alchimowicz, ale nic mu nie udowodniono. Z kolei wdowa po Wierszyle w trakcie powojennego postępowania stwierdziła, że nic nie wie o tożsamości sprawców zamachu na męża. Śledztwo umorzono.

Alchimowicz od wiosny 1943 r., ukrywając się po lasach i wsiach, dowodził kilkudziesięcioosobowym oddziałem im. Wandy Wasilewskiej, który przeprowadzał akcje sabotażowe przeciwko Niemcom i polskiemu podziemiu. Wchodził w skład Brygady im. Lenińskiego Komsomolu, sterowanej przez NKWD. W walkach towarzyszyła mu Olga, która najpierw była łączniczką, a potem lekarką oddziału. Latem 1944 r. na Nowogródzczyznę wkroczyła Armia Czerwona i dokonała masakry polskiego podziemia. W końcu sierpnia oddział Alchimowicza został rozwiązany, część jego ludzi wstąpiła do Wojska Polskiego, a on z żoną i małym synkiem wyjechali do Wilna.

Żywoć trzeci

W 1944 r. Wileńszczyzna znalazła się w rękach radzieckich. We wrześniu powołano Zarząd Republikański Związku Patriotów Polskich, oddział powstałej w 1943 r. w Moskwie organizacji polskich komunistów przygotowywanych przez Stalina do przejęcia władzy w Polsce. W Wilnie ich rolą była nie tylko walka polityczna, ale też rozbijanie formacji niepodległościowych bez rozlewu krwi i przygotowywanie Polaków do repatriacji na tereny odebrane Niemcom.

Alchimowicz w Komitecie Organizacyjnym ZPP pełnił funkcję kierownika działu wojskowo-mobilizacyjnego. Potem został zastępcą naczelnika wydziału wojskowego ZPP, delegowanego z Moskwy Benedykta Szymańskiego. Znali się z czasów wojny, gdy działali razem w Zgrupowaniu Baranowickich Partyzantów. Początkowo Szymański miał słabość do Alchimowicza, z czasem stosunki między nimi się popsuly. *Corzystając z mojego zaufania jako do czerwonego partyzanta, ponaciagał mi do Wydziału Wojskowego podejrzanych ludzi, którzy okazali się kolaborantami lub agentami Londynu* - pisał Szymań-

Wacława

WIKIPEDIA



U góry: Wacław Alchimowicz (1914-48), akowiec, komunistyczny partyzant i kapitan bezpieki. Został skazany na śmierć i stracony trzy miesiące przed rotmistrzem Witoldem Pileckim, w którego rozpracowaniu wziął udział.

Poniżej: Proces grupy Witolda Pileckiego, który rozpoczął się w Warszawie w marcu 1948 r. W pierwszym rzędzie od lewej: Witold Pilecki, Maria Szelągowska, Tadeusz Plużański, Ryszard Jamontt-Krzywicki i Makary Sieradzki. Za nimi: Maksymilian Kaucki, Witold Różycki i Jerzy Nowakowski. Pierwszych troje zostało skazanych na kary śmierci, ale stracono jedynie Pileckiego. Szelągowskiej i Plużańskiego zamieniono wyrok na dożywocie. Skazany na nie został także Sieradzki, Różycki dostał 12 lat, Jamontt-Krzywicki - osiem, a Nowakowski - pięć.

PAP / PAP



ski, który jako jedyny oskarżał Alchimowicza o udział w morderstwie w Wasyliszkach.

Negatywna opinia przełożonego nie przeszkodziła mu w dalszej karierze. W końcu kwietnia 1945 r. repatriował się z rodziną do Polski i po krótkiej wędrówce po kraju osiadł w Warszawie. Olga wróciła na medycynę, on przez znajomego z Wilna został zatrudniony w MBP. Początkowo zajmował się pracą biurową, statystykami i wyciągami z raportów wojewódzkich urzędów bezpieczeństwa publicznego. Rwał się jednak do czegoś mniej statycznego.

Udało mu się przejść do Wydziału III Departamentu I, którym kierowała wówczas Julia Brystygierowa. Wydział zajmował się „ban-

dytyzmem politycznym”, czyli antykomunistyczną partyzantką. Alchimowicz został tam kierownikiem Sekcji II. Do jego zadań należało rozpracowywanie inteligencji i zdobywanie informatorów, kontrolował też pracę sekcji w WUBP.

Brystygierowa okazała się dobrą szefową. Dotąd Alchimowiczowie mieszkali w kłitce na Żoliborzu u matki Olgi. Pokoik zamiast okna miał dziurę w ścianie, opalało się go drewnem z sąsiednich zrujnowanych budynków. Dzięki staraniom dyrektorki otrzymali kawalerkę na Pradze, na dzisiejszej ul. Kłopotowskiego.

Kariere Alchimowicza zahamował tyfus brzuszny. Gdy w lutym 1946 r., po czterech mie-

siącach choroby, wrócił do pracy, przesuwano go do coraz mniej ważnych zadań. A po reorganizacji MBP został przeniesiony do Departamentu V, który zajmował się sprawami społeczno-politycznymi. Na dodatek dostał nagane za próbę nacisku na szefa WUBP w Bydgoszczy, gdzie w areszcie siedział jego znajomy z czasów partyzanckich. Alchimowicz chciał mu pomóc przez werbunek, z jednego prywatnego listu zrobiła się potężna afera. *Coś się we mnie załamało* - pisał rok później - *skojarzyłem poprzednie odsuwanie mnie na plan dalszy z ostatnim wydarzeniem i pod wpływem tych przykładów skojarzyłem sobie, że jestem stopniowo wykańczany, w końcu jakąś fikcję dorobię, że jestem przestępcą, i będę aresztowany i zlikwidowany.*

Żywoć czwarty

Pewnego dnia, jeszcze w maju lub czerwcu 1945 r., Alchimowicz wpadł na ulicy na kolegę z gimnazjum Stanisława Kuchcińskiego, który posługiwał się drugim imieniem Leszek. Zaczęli się spotykać, odnawiając szkolną przyjaźń. Po niemal roku, w marcu 1946 r., Kuchciński zgłosił się jako chętny do współpracy z MBP.

W tamtym czasie pracował w Lidze Morskiej, w wydziale rybnym. Wrócił do Warszawy po kilkumiesięcznej nieobecności. Wówczas stracił kontakty z podziemiem. W konspiracji był oficerem oświatowym w Tajnej Armii Polskiej, w której działał również Witold Pilecki, zanim wyruszył na misję do Auschwitz. Po wojnie Kuchciński zajmował się wywiadem w komórce o kryptonimie „Stocznia” w Zrzeszeniu „Wolność i Niezawisłość”. Kiedy nawiązał ponowny kontakt z tą organizacją, dostał od przełożonych polecenie, by zwerbować kogoś z organów bezpieczeństwa. Być może to wtedy narodził się pomysł, by był to Alchimowicz, który akurat przeżywał moment załamania. *Jakbym się rozdziwił. Od tego czasu zaczęła się moja tragedia. Jeden jakby chciał pracować dla MBP, drugi, pomagając podziemi, sądził, że w ten sposób zmniejszy liczbę ofiar z jednej i drugiej strony* - tłumaczył w śledztwie.

Kuchciński osiągnął cel - formalnie był informatorem Alchimowicza, w praktyce informacje płynęły w drugą stronę. Ubarwił też nieco własne zasługi, podając kierownictwu Obszaru Centralnego WiN, że udało mu się zwerbować podpułkownika MBP, a nie jedynie kapitana.

Konspiratorzy byli z nich marni. Kuchciński dzwonił wprost do biura Alchimowicza w MBP. Wówczas ten wychodził z gmachu przy Alejach Ujazdowskich w mundurze i na ulicy albo w pobliskim parku przekazywał mu informacje o najważniejszych ludziach w MBP oraz sposobie funkcjonowania ministerstwa. Pewnego razu, kiedy spacerowali, po drugiej stronie ulicy zauważył ich ówczesny dowódca Obszaru Centralnego WiN Wincenty Kwieciński. *Ponieważ zląkłem się, widząc „Bigla” [Kuchcińskiego] w towarzystwie oficera, nie zdołałem przyrzeć się - zeznał w lutym 1947 r. Podpułkownika tego nie mógłbym prawdopodobnie rozpoznać, gdyż byłem mocno zdenerwowany tym spotkaniem.*

Dopiero z czasem zaczęli się spotykać w mniej oczywistych miejscach, na placu Unii Lubelskiej czy placu Narutowicza. Alchimowicz wnosił wszystko, co wpadło mu w ręce - instrukcje, regulaminy, opracowania, blankiety przesłuchań, wykazy przyjęć i zwolnień z aresztu. Przekazywał zasłyszane informacje dotyczące referendum, wyborów, trwających śledztw. Ostrzegał o rozpracowywanych agentach WiN-u. Opowiadał nawet plotki dotyczące życia prywatnego pracowników MBP. Ze zdobywaniem wiadomości nie miał problemów - docierały do niego drogą służbową albo towarzyską, więc nie wzbudzał niczyich podejrzeń.

Na początku grudnia 1946 r. na polecenie Kuchcińskiego napisał raport, w którym ocenił sytuację polityczną w organach bezpieczeństwa, ich metody pracy i wyszczególnił te osoby w kierownictwie MBP, które warto zlikwidować. Usłyszał, że taką ocenę pisze każdy członek siatki, a posłużą one do stworzenia szerszej analizy.

Raport Alchimowicza podpisany pseudonimem „Brzeszczot” trafił do Tadeusza Plużańskiego, członka siatki Witolda Pileckiego. Dalej przekazano go do 2. Korpusu Polskiego Władysława Andersa. Była to prowokacja przygotowana przez MBP, które liczyło, że podziemie zdecyduje się na przeprowadzenie zamachu na wysokich funkcjonariuszy ministerstwa. Akcja odwetowa doprowadziłaby do zniszczenia grupy i zwiększyłaby poparcie społeczne dla władz. Jednak Pilecki nie zamierzał nikogo zabijać.

Kuchciński musiał się więc uciec do innych sposobów. Nie był bowiem zwykłym członkiem podziemia, tylko głęboko ukrytym agentem MBP, który wykorzystując wojenne znajomości, rozpracowywał grupę Pileckiego. Przez jakiś czas mieszkał nawet razem z Plużańskim w Piastowie. Po latach ten ostatni opisał we wspomnieniach moment, kiedy w trakcie śledztwa zorientował się, skąd przesłuchujący go czerpią informacje: *Kto mógł wiedzieć o szczegółach znanych tylko mnie i najbliższym. Skąd oni mają dane o urzędzeniu mieszkania pod Warszawą (...). To nikt inny, tylko Leszek!*

Tymczasem w styczniu 1947 r. bezpieka aresztowała Kwiecińskiego, wówczas III prezesa Zarządu Głównego WiN. Nie znał nazwisk swoich podkomendnych, ale wiedział wystarczająco dużo, by obaj mężczyźni byli zagrożeni. Kuchciński wykorzystał to jako pretekst, by skontaktować Alchimowicza z Plużańskim. Teraz konspiratorzy pozostawali w bezpośrednim kontakcie, a krąg zaczął się zamykać.

Mimo zagrożenia Kuchciński wciąż umawiał się na spotkania z Alchimowiczem, czy to telefonicznie, czy to przez Plużańskiego. Cały czas interesował się też rozpracowywaniem podziemia. *Powiedział mi również w trakcie rozmowy, że nie mogą za wszelką cenę rozpracować tego agenta, który ich śpi, pracując w WiN-ie - zeznał później Alchimowicz, który wiedział jedynie, że takie śledztwo się toczy, ale sprawę prowadził Departament III, do którego nie miał dostępu.*

Pod koniec kwietnia Plużański ostrzegł go, że Kuchciński się ukrywa, a gdyby wpadł, może zaszkodzić im obu. Konspiratorzy spodziewali się nowej fali aresztowań, umówili się na kolejne spotkanie 5 maja na ul. Narbutta. Tego dnia rano, na dzień przed swoimi 33. urodziny, Alchimowicz został aresztowany.

Śmierć

Śledczy się nie spieszyli. Od aresztowania do pierwszego zaprotokołowanego przesłuchania minęło 11 dni. W tym czasie Alchimowicz zapewne spisał obszerny życiorys, z którego zachowała się jedynie ostatnia część, obejmująca okres od powrotu do Polski. Protokoły są równie szczegółowe - daty, miejsca, nazwiska. Czasem bronił się, że jakieś spotkanie z Kuchcińskim miało charakter prywatny - rozmawiali o wyjeździe w rodzinne strony, odwiedzali się w święta Bożego Narodzenia. Niektórych faktów nie kojarzył, operował pseudonimami zamiast nazwisk. Nie zdawał sobie sprawy, że tak naprawdę pracował dla dwóch organizacji, WiN-u i grupy skupionej wokół rotmistrza Pileckiego. Do samego końca uważał, że Kuchciński jest jednym z nich.

W tym czasie jego rodzina została eksmitowana z mieszkania na Pradze. Olga bez środków do życia, z kilkumiesięcznym niemowlęciem zamieszkała w Domu Matki i Dziecka w Otwocku, pięcioletniego synka musiała oddać do przytulku. Nie miała pojęcia, co dzieje się z jej mężem - śledztwo było utajnione, zakazano korespondencji. Zamiast tego pisała, gdzie mogła - do ministra, do prezydenta. Bez skutku.

Rozprawa odbyła się 19 stycznia 1948 r. bez udziału obrońcy i publiczności. Alchimowicz przyznał się do wszystkich zarzucanych mu czynów. Plużański potwierdził, że spotykali się regularnie. Pilecki pierwszy raz zobaczył go na własne oczy. Kwieciński zorientował się, że ma on niższy stopień wojskowy. Sąd jeszcze tego samego dnia wydał wyrok śmierci. Wykonano go 11 lutego.

Kuchciński rozplynął się w powietrzu. ●

Najlepszy przyjaciel Jej Królewskiej Mości

Gdy królowa Wiktoria widziała w swoim indyjskim służącym Abdulu Karimie mądrego i lojalnego doradcę, jej rodzina i dworzanie postrzegali go jako służalczego karierowicza, który chce się wzbogacić ich kosztem.

MARTA GRZYWACZ

Od pogrzebu Wiktorii minęło zaledwie kilka godzin, gdy w lutowy ranek 1901 r. grupa ludzi wyruszyła z zamku Windsor do Frogmore Cottage, domu na terenie posiadłości królewskich. Królowa Aleksandra, żona Edwarda VII, który objął tron, księżniczka Beatrice, najmłodsza córka zmarłej królowej, i trochę straży po kilkunastu minutach załomotali do drzwi Abdula Karima. Mieli do spełnienia ważną misję. Przez ostatnie 13 lat Wiktoria obdarzała tego prostego indyjskiego chłopaka zaszczytami, pieniędzmi, ziemią i przyjaźnią, a może nawet miłością, którą odzwierciedlały ich listy i dokumenty. Należało je zniszczyć. To była jedyna droga odegrania się za to, że jego potrzeby stawiała wyżej niż potrzeby własnych dzieci.

Rodzina Karima nie rozumiała, co się dzieje. Jego żona w pośpiechu zakładała burkę, on był w piżamie. Aleksandra i reszta zażądali wydania listów i nie słuchając tłumaczeń, zaczęli przetrząsać szuflady. Wszystko, co znaleźli, rzucili na stos i podpaliłi. Żona Karima płakała i prosiła, żeby przestali, on sam stał tępo wpatrzony w ogień, który pochłaniał wszystkie dobre słowa, jakie skierowała do niego i jego rodziny królowa Wielkiej Brytanii i Irlandii, cesarzowa Indii Wiktoria Hanowerska.

Najdroższy skarb

Wiosną 1883 r. zaczęła się dla Wiktorii fatalnie - umarł jej wierny sługa John Brown. *W każdym miejscu i o każdej porze odczuwam okrutnie utratę tego silnego ramienia i mądrej rady, gorącego serca i sympatii* - pisała w dzienniku. Jej przywiązanie do Browna wzięło się z czasów, gdy jej zmarły w 1861 r. mąż Albert powierzył mu swoje konie. Po śmierci księcia Wiktoria niemal utożsamiała z nim swego szkockiego sługę. Dla 50-letniej monarchini o siedem lat młodszy, prosty Szkot z Aberdeenshire stał się ochroniarzem, garderobianym i osobą do towarzystwa. Domagała się jego obecności nawet podczas oficjalnych uroczystości, co doprowadzało do szału rodzinę i rząd. *Pragnę okazać ci coraz wyraźniej, czym jesteś dla mnie* - pisała do Browna. Chciała przelamać niechęć dworu, który bał się go jak ognia. I stała w jego obronie, gdy ktokolwiek śmiał się skarżyć na jego gburowatość, wywyższanie się czy wysługiwanie innymi: *Mój biedny Brown ma tyle zajęć, kładzie się spać z opuchniętymi stopami i nie może zasnąć z przemęczenia. Nie można robić z niego sługi do wszystkiego, prócz tego to obniża jego pozycję* - pisała.

Szkot szybko zdał sobie sprawę, że jego cołkowiak prostackie maniere królową „bawia”,

więc nie siłił się na konwenanse. „Kobieto, czy nie potrafisz wyżej głowy podnieść?!” - zwrócił się do królowej, kłując ją niechcący szpilką, gdy przypinał jej mantylkę pod brodą. Szczycił się swoją poufałością. „A cóż to dzisiaj mamy na sobie?” - komentował, gdy nie podobał mu się strój królowej.

W salonach zaczęły krążyć pieprzne historie, jakoby Wiktorii i jej sługę łączyło coś więcej niż tylko zależność służbowa. Pojawily się nawet plotki, że potajemnie wzięli ślub, więc królową zaczęto nazywać panią Brown.

Śmierć Szkota przyjęto z ulgą. Tylko sekretarz królowej sir Henry Ponsonby wpadł w popłoch, ponieważ Wiktoria zamierzała opublikować wspomnienia o Brownie. A przecież takie treści jak: *ze słowami mojej ufności i miłości do Ciebie, najlepszy skarbie mojego serca, czy wspomnienie wspólnych długich zimowych wieczorów*, mogą zostać opacznie zrozumiane.

Regina et Imperatrix

Proklamowanie w 1871 r. cesarstwa niemieckiego oznaczało, że najstarsza córka Wiktorii, żona niemieckiego następcy tronu Fryderyka Hohenzollerna, zostanie w przyszłości cesarzową, a zatem będzie miała wyższą rangę niż jej matka. Mogło to się nie spodobać brytyjskim poddanym, ówczesny premier Benjamin Disraeli wpadł więc na pomysł, aby Wiktoria otrzymała tytuł cesarzowej Indii - od 1858 r. brytyjskiej kolonii. 1 maja 1876 r. Wiktoria po raz pierwszy podpisała oficjalny dokument Regina et Imperatrix i cieszyła się tym jak dziecko nową zabawką. Natychmiast zażądała sikhów w charakterze gwardii cesarskiej i jeśli dotąd szczególnie miłaskami obdarzała Szkocję, teraz zamierzała przerzucić afekt na Indie.

W 1886 r. Wielka Brytania hucznie obchodziła jubileusz 50-lecia jej panowania. Poddani oglądali swą władczynię, gdy ubrana w czerń, jedynie z białą koronką przy czepku, jechała w odkrytym powozie, od czasu do czasu unosząc rękę w geście powitania. I właśnie przy okazji złotego jubileuszu Wiktoria zażądała sprowadzenia z Indii dwóch mężczyzn do usługiwania przy stole hinduskiej księżniczce, która przyjechała na uroczystości. Jednym z nich był Abdul Karim, 24-letni urzędnik więzienny zatrudniony w Agrze.

Czekaliśmy na Jej Wysokość w pokoju przy jadalni - wspominał później. Byłem trochę zdenerwowany i w końcu nadeszła w towarzystwie księżki Connaught i księżniczki Beatrice. Dr Tyler [odpowiedzialny za sprowadzenie hinduskich służących] oddał jej hold, przyklękając, ja zrobiłem to samo na sposób wschodni, a potem na otwartych dłoniach wręczyłem nazar - amulet w postaci złotej monety. Jej Wysokość dotknęła go i przesunęła w moją stronę, jak każde indyjski zwyczaj. Zamieniła potem parę słów z dr. Tylerem i to był koniec mojego pierwszego spotkania z cesarzową Indii.

Karim wpadł królowej w oko. *Jeden z nowych służących, Mohammed Buksh, bardzo ciemny, ma uśmiechniętą twarz. A ten drugi, o ładnej, poważnej twarzy, znacznie młodszy, Abdul Karim, jest jaśniejszy, wysoki, przystojny. Jego ojciec jest lekarzem w Agrze. Obaj ucłowali moje stopy* - pisała w pamiętnikach.



► Królowa Wiktoria i jej hinduski służący Abdul Karim na zdjęciu z 1893 r. Prawda o ich przyjaźni zginęłaby w pomroce dziejów, gdyby nie sama Wiktoria. Choć wszystkie listy, które do siebie pisali, spłonęły, zachowały się zeszyty Wiktorii z lekcji języka urdu, których udzielał jej Karim. Angielska pisarka hinduskiego pochodzenia Shrabani Basu odkryła je w zamku Windsor. Ze względu na język urdu nikt ich nie czytał od 100 lat. Basu dotarła także do pamiętników Abdula Karima, przechowywanych przez jego rodzinę w Indiach. Między innymi na tej podstawie powstał film „Powiernik królowej”.

Dwa dni po pierwszym spotkaniu dr Tyler został zaproszony do palacu Buckingham w towarzystwie Karima.

Przytul mnie mocno

Wiktoria zafascynowana Karimem i zafascynowana Indiami coraz więcej czasu spędzała w jego towarzystwie. *Królowa najlepiej czuła się w otoczeniu prostych ludzi - uważał jej biograf George Bidwell. Oczywiście wyższość jej pozycji w stosunku do nich sprawiała, że nie musiała okazywać im wyższości innymi sposobami. Wśród dworzan i gości odczuwała często braki swego intelektu i talentów. W wiejskich chatach natomiast nie potrzebowała nalegać na przestrzeganie etykiety dworskiej, bo w sposób naturalny spotykała się z należnym jej respektem.*

Dzięki Karimowi na brytyjskim stole pojawiło się curry, już wkrótce ulubiona potrawa królowej. 68-letnia Wiktoria poprosiła też Abdula, żeby uczył ją języka urdu.

I jeśli ona sama była uszczęśliwiona tą znajomością, jej indyjski „nowy kaprys” - jak mawiali dworzanie - wydawał się coraz bardziej sfrustrowany. Fizyczna praca zdecydowanie mu nie leżała, już poprosił o możliwość powrotu do domu. List, który otrzymał od Wiktorii w odpowiedzi, został spalony przez rodzinę królowej po jej śmierci, ale Karim zachował w swoich dokumentach kopię. *General Denhey przeczytał mi twoją prośbę* - pisała Wiktoria. *Byłoby mi bardzo przykro, gdybym musiała się z tobą rozstać, bo bardzo cię lubię i szanuję, mam więc nadzieję, że zostaniesz chociaż do końca roku albo do początku następnego, tak żebyś z twoją pomocą mogła nauczyć się hindustani na tyle dobrze, żeby się porozumiewać. Z chęcią zarekomenduję cię na stanowisko w Indiach, które będzie dla ciebie odpowiednie, i mam nadzieję, że będziesz mógł przyjeżdżać do Anglii i odwiedzać mnie od czasu do czasu.*

Licząc, że uda się zatrzymać Karima, Wiktoria awansowała go ze służącego na nauczyciela, czyli munshi. *Nigdy nie zapomnę tego dnia* - pisał Karim - *tak jak nigdy nie przestanę dziękować Bogu i modlić się za długie życie i szczęście Jej Wysokości.*

Karim stworzył dla Wiktorii słownik, w którym ujął podstawowe wyrażenia zapisane alfabetem romańskim. Królowa mogła się nim posługiwać w rozmowach ze swoimi indyjskimi służącymi lub urzędnikami. Były tam takie zdania jak: *Możesz iść do domu, jeśli chcesz lub To jajko jest niedogotowane.* Ale także bardziej intrygujące: *Będziesz tęsknić za swoim Munshi czy Przytul mnie mocno.*

Dąsy Munshiego

Dla wszystkich stało się jasne, że Abdul Karim zajął w sercu Wiktorii miejsce Johna Browna, a może nawet stał się kimś znacznie bliższym. Bo jeśli na początku jedynie osuszał bibułą dokumenty, które podpisywała, to wkrótce sam odpowiadał na niektóre listy w jej imieniu. Ministrowie byli przerażeni. Czy Munshi nie przekazuje poufnych informacji do Indii? - zastanawiano się w Londynie.

Ich obawy nie były do końca bezpodstawne, bo Karim zaczął też doradzać Wiktorii, jak rozwiązywać problemy między wyznawcami hinduizmu a muzułmanami. I jako że był muzułmaninem, większość spraw była rozstrzygana na ich korzyść.

Dwór znów musiał znosić obecność służącego podczas spotkań z europejskimi monarchami czy premierami. Podczas wizyty we Włoszech Karim został nawet przedstawiony królowi Umberto I, który nie ukrywał, że jest tym zdziwiony.

Munshi przekonany o swojej wyjątkowości odmawiał podróży w towarzystwie innych hinduskich służących i nie chciał jadać w ich towarzystwie. Gdy następcą tronu książę Albert (późniejszy król Edward VII) zaprosił matkę do Sandringham, Karim poczuł się obrażony, że podczas kolacji dostał miejsce wśród służby, i wrócił do pokoju. W czasie wizyty w Coburgu na ślubie wnuczki królowej, Victorii Melity, także otrzymał miejsce ze służby. I ponownie zrezygnował z uroczystości. Królowa zawsze go broniła. Napisała nawet do Ponsonby'ego: *Wymyślił, że biedny, dobry Munshi, jest niskiego stanu, to doprawdy oburzające i w takim kraju jak Anglia nie na miejscu. Znam co najmniej dwóch arcybiskupów, którzy są synami rzeźnika i sklepikarza.*

Ze slugi pan

Munshi miał prawo nosić miecz i medale, którymi odznaczyła go Wiktoria. Ubój trzody prowadzono na jego życzenie zgodnie z tradycją muzułmańską. Mógł też grać w bilard w pałacach i zamkach królowej, a w operze i teatrach siedział tuż za nią. Wiktoria zgodziła się, żeby sprowadził do Anglii żonę i innych krewnych, którzy w każdej z posiadłości królowej dostawali własny dom, przy czym w Balmoral wybudowano specjalnie dla Karima osobny budynek nazywany na jego cześć Karim Cottage.

„Tak bardzo go lubię. Jest dla mnie taki dobry, delikatny i wyrozumiały. Prawdziwe pocieszenie” - zwierzyła się w 1888 r. w Balmoral przy herbacie synowej Luizie, księżnej Connaught. Gdy wyjeżdżał do Indii, codziennie pisała do niego kilka listów, podpisując się

zwykle *Twoja kochająca matka* lub *Twoja najlepsza przyjaciółka*.

Jej niedawny służący sam miał teraz służących, własny powóz i kamerdynera, a posiłki jadł w towarzystwie dworzaków. Wiktoria nie zrobiła tego nawet dla Browna. A już w zupełne osłupienie wprawila dwór, gdy w 1889 r. spędziła z Munshim noc w ustronnym domku w Glas-salt Shiel w Szkocji. Może niewielu wierzyło w ich romans, bo Karim miał 26 lat, a Wiktoria 70, niemniej jednak dwór przeżył szok. Brown - szeptano na salonach - był lepszy. Prosty, szczerzy chłop, a nie intrygant, schlebiający i tajemniczy, który robi wyniosłe pozy i powołuje się na wysokie urodzenie, podczas gdy wszyscy wiedzą, że jest synem wieziennego felczera, o czym uprzejmie doniósł przebywający w Indiach lekarz królowej sir James Reid.

Podszyta rasizmem niechęć dworu rosła. Nie wytrzymał nawet Ponsonby, który w liście do żony pisał: *Dopóki to byli Anglicy i Europejczycy, mogłem sobie jakoś radzić. Ale ci ciemnoskórzy to więcej, niż potrafisz znieść.*

Munshiego nie lubiła nawet indyjska służba królowej, która twierdziła, że stał się arogancki i coraz bardziej żądny zaszczytów. W czasie wyprawy do Florencji w 1894 r. miał się skarżyć, że prasa nie poświęca mu dość uwagi. Gdy syn królowej jej o tym doniósł, nie tylko nie miała Karimowi za złe megalomanię, ale też zażyczyła sobie, żeby prasa częściej o nim pisała. Nie oburzyło jej nawet to, że ojciec Munshiego zapalił w Windsorze fajkę wodną, choć nie znosiła palenia.

Wymazać Munshiego

Królowa darzyła przyjaźnią także żonę Munshiego. Gdy dowiedziała się, że od lat bezskutecznie próbuje zajść w ciążę, poradziła się lekarza. *Rozmawiałam z dr. Reidem o twojej drogiczej żonie* - pisała do Karima. *Być może, gdy zraniła się w nogę, uszkodziła sobie także coś w środku i teraz pewne rzeczy nie dzieją się tak regularnie, jak powinny. Dlatego musi na siebie uważać w określonym czasie każdego miesiąca i nie przemęczać się.* I dodawała: *Zrobię dla was wszystko, co w mojej mocy, bo jesteście moimi drogimi indyjskimi dziećmi.*

W 1889 r. Wiktoria oficjalnie przyznała Karimowi tytuł Munshi Hafiz Abdul Karim i powierzyła mu obowiązki w swoim sekretariacie. Jednocześnie kazała zniszczyć wszystkie fotografie, na których widać, jak podaje do stołu. Chciała, aby wszyscy zapomnieli o plebejskim pochodzeniu Karima. Gdy Munshi razem z innymi służącymi z Indii został oskarżony przez spiskującą przeciwko niemu rodzinę królewską o stworzenie „czarnej brygady, która kradnie, szpieguje i kłamie”, skarciła wszystkich za brak szacunku.

Tylko w ostatnim roku przed śmiercią Wiktorii Munshi otrzymał od niej wynagrodzenie w wysokości 922 funtów, czyli dziś około 113 tysięcy. *Zamierzam zabezpieczyć twoją przyszłość* - pisała do niego w jednym z listów. Gdy więc po śmierci Wiktorii Karim został zmuszony do opuszczenia Wielkiej Brytanii, był zamożnym człowiekiem. W Agrze kupił dom, zmarł osiem lat później, w wieku 46 lat.

Dokumenty świadczące o jego zażyłości z królową zostały spalane. Księżniczka Beatrice spędziła kilka lat na przepisywaniu rękopisów Wiktorii, z których usunęła wszystkie wzmianki dotyczące Munshiego. Do naszych czasów przetrwały zapiski samego Karima i pisane w urdu notatki królowej. ●

Od piątku w kinach „Powiernik królowej” - film o przyjaźni Wiktorii ze swym indyjskim służącym

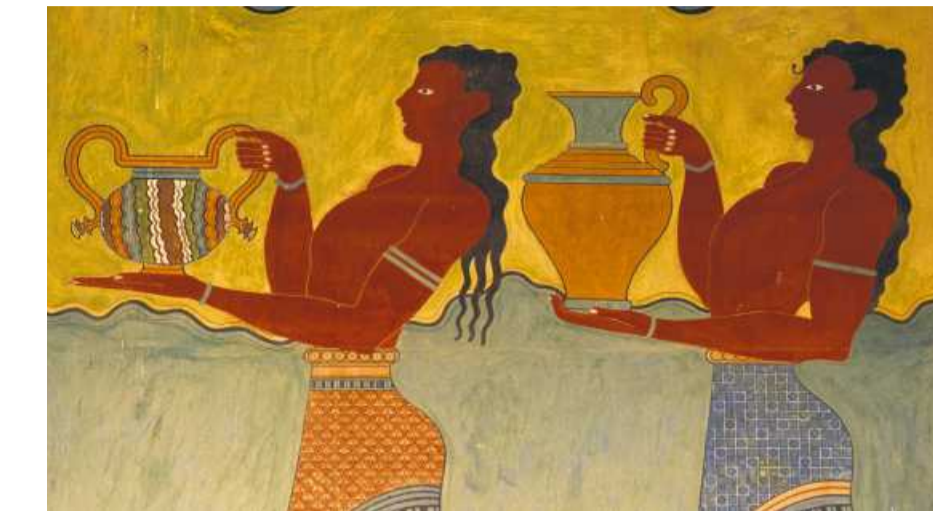
Lądowania na Krecie

W maju 1941 r. na Krecie bronionej przez aliantów wylądowali niemieccy spadochroniarze i choć ponieśli straszliwe straty, wyspa znalazła się pod okupacją. „Nigdy więcej nie przeprowadzimy takiego desantu. Kreta udowodniła, że czasy oddziałów spadochronowych się skończyły” - powiedział potem Hitler do gen. Kurta Studenta, dowódcy operacji i twórcy niemieckich sił powietrznodesantowych.

PIOTR NEHRING

O tego czasu ze wszystkich kobiet na ziemi najurodziwsza była Europa, córka Agenora, władcy fenickiego miasta Sydonu. *Lubiła chodzić nad brzegiem morza, gdzie bawiła się z rówieśnicami. Dziewczęta zbierały kwiaty i tańczyły. Razu pewnego zobaczyły na łące pięknego białego byka. Miał sierść lśniącą, rozłożyste nogi i bardzo rozumne spojrzenie. (...) Dziewczęta obległy go dokoła, podawały mu zioła soczyste, a on jadł i szerokim językiem lizał ich białe dłonie. W końcu oplotły go wieńcami i królowna Europa usiadła mu na karku. Wtedy jednym susem skoczył i porwał się do ucieczki. Wpadł do morza i popłynął. Był to sam Dzeus, który zakochał się w pięknej pannie. Posejdon wygładził przed nim powierzchnię morza, że była jak stół równy. Nereidy jechały na delfinach i klaskały w ręce z uciechy. W wielkiej muszli, którą ciągnęły rozhukane trytony, stała Afrodyta i obsypywała Europę kwiatami. Tak dopłynęli do Krety. Dzeus przychykował swej lubej mieszkankie w cudownej grocie, którą osłaniał kłon cienisty. Tak tę słynną historię opisywał Jan Parandowski w swej najbardziej znanej książce.*

Co było dalej? Ze związku Europy z Zeusem, najważniejszym greckim bogiem, przyszło na świat dwóch synów - Minos i Radamantys - którzy po śmierci matki zostali królami Krety, ale nie potrafili się ze sobą dogadać. Ten drugi więc odpłynął ze swoimi zwolennikami, założył nowe państwo na wyspach archipelagu egejskiego i okazał się znakomitym władcą. Minos również sobie radził, potrafił pokojowo współżyć z sąsiadami, rozwinął handel i stworzył wielką flotę. Gorzej wiodło mu się w życiu prywatnym, bo jego żona Pazyfae urodziła dziecko będące skrzyżowaniem człowieka i byka. Król Krety postanowił zamknąć szkaradnego potwora i zlecił Dedalowi, pochodzącemu z Aten inżynierowi, architektowi, rzeźbiarzowi, wynalazcy, słowem, komuś w rodza-



Fragment jednego z fresków na ścianie pałacu w Knossos przedstawiający mężczyzn niosących wazy. Artyści posługiwali się farbami wodnymi, które nakładali na wilgotne jeszcze ściany.

ju Leonarda da Vinci, budowę labiryntu, z którego Minotaur by się nie wyplątał. Ostatecznie potwora uśmiercił ateński król Tezeusz z pomocą córki Minosa Ariadny. Dała mu ona kłębek nici, którą młodzian przyczepił u wejścia do labiryntu i rozwijał ją, szukając Minotaura. Kiedy już go zabił, zaczął zwinąć nić i dotarł do wyjścia. Po śmierci syna Minos kazał uprzętnąć gmach, zamienił go w pałac i w nim zamieszkał, a po nim jego następcy.

Losy Dedala i jego syna Ikara są powszechnie znane. Konstruktor zapragnął wrócić do Aten, ale nie uzyskał zgody Minosa, zrobił więc dla siebie i syna skrzydła z ptasich piór. Przed lotem ostrzegł jednak chłopaka, by nie wzbijał się wysoko, bo promienie słoneczne roztopią wosk spajający skrzydła, i żeby nie leciał za nisko, bo grozi to zawilgoceniem piór. Minęli już Samos, Paros i Delos, gdy Ikar, niepomny ostróg ojca, niebezpiecznie nabral wysokość. Słońce stopiło wosk i lekkomyślny młodzieniec spadł. Wyspę, na której zginął, nazwano Ikarją. Leży w północnej części Morza Egejskiego. Dedal wylądował na Sycylii, gdzie został budowniczym jednego z miejscowych władców. Kilka lat później Minos upomniał się o zbiegłego architekta, wywiązała się z tego wojna, w której poległ. Dedal dożył sędziwego wieku.

Raj w Knossos

Czy w tej legendzie jest ziarno prawdy? I owszem. Pierre Lévêque, francuski historyk starożytnej Grecji, zwraca uwagę, że Kreta rozwijała się szybciej niż Grecja kontynentalna z racji dobrej ziemi, złóż miedzi i położenia geograficznego. Rozwinęła handel z Egiptem, Bliskim Wschodem, innymi wyspami i wreszcie z Helladą. I nie ucierpiała - w przeciwieństwie do Grecji kontynentalnej - z powodu trwającego od 2700 r. p.n.e. napływu ludów zamieszkujących Anatolię, czyli dzisiejsze tereny Turcji położone w Azji Mniejszej. Grecy podbili Kretę dopiero w 1400 r. p.n.e., co oznacza, że wyspiarze nazywani przez uczonych Minojczykami (2700-1400 r. p.n.e.) mieli mnóstwo czasu na stworzenie wspaniałej kul-

tury zwanej minojską, egejską bądź kretańską. Rezydujący w Knossos władcy noszący zapewne tytuł *minos* (możliwe, że to imię własne któregoś z monarchów) i ich poddani długo jako jedyni na Morzu Egejskim dysponowali potężną flotą, dzięki której zmonopolizowali handel i wzięli pod but sąsiadów. Z mitu o Tezeuszu dowiadujemy się, że król Minos wymagał od Aten rocznego haracz w postaci siedmiu chłopców i siedmiu dziewcząt pożeranych następnie przez Minotaura. I to z tego powodu, aby wybawić rodaków od okrutnej ofiary, ateński król Minos postanowił zabić potwora.

W 1900 r., czyli niedługo po oswojeniu się Krety (z pomocą Wielkiej Brytanii) spod trwającej prawie 230 lat tureckiej niewoli, brytyjski archeolog Arthur Evans rozpoczął wykopaliska w odległym o kilka kilometrów od Heraklionu Knossos, miejscowości leżącej u stóp góry Ida. W znajdującej się w niej grocie wychował się Zeus. Evans odsłonił zbudowaną na dwóch płaszczyznach budowlę składającą się z ponad tysiąca pomieszczeń, która skojarzyła się mu z labiryntem i mitem o Minotaurze. Dlatego cywilizacja, która na Krecie zbudowała ten i inne pałace, nazwał minojską.

Architekt [pałacu w Knossos] - pisze Lévêque - wykorzystał nierówność terenu i zbudował całość na dwóch płaszczyznach: skrzydło wschodnie umieszczone jest na niższym poziomie niż dziedziniec centralny i reszta budowli. W części zachodniej obszernego dziedzińca (ok. 60 x 29 m) położone są sanktuaria i sale recepcyjne, przede wszystkim sala tronowa, przed którą znajduje się basen do dokonywania oczyszczenia, dalej zaś, oddzielone długim korytarzem biegnącym z północy na południe, są magazyny, gdzie w ogromnych pitozach („pithol”) gromadzone były bogactwa minosa. We wschodniej części po obu stronach korytarza biegnącego ze wschodu na zachód znajdują się warsztaty i apartamenty prywatne (wielka sala „podwójnych toporów” i apartamenty królowej). Część południową zamieszkiwała czeladź; w części północnej mieściły się komory i teatr. →

MAGAZYN JUŻ W SPRZEDAŻY

18 SŁYNNYCH PAR

Małżeństwa, romanse i zdrady, które zmieniły świat

POLECA alehistoria



→ Po wejściu do pałacu przed oczami turyści przesuwają się kolejne epoki malarstwa kretańskiego, które na początku cechował naturalizm - to freski ukazujące rośliny, zwierzęta i ludzi. Mamy więc bukiety róż, delfiny i ryby w apartamencie królowej czy byka, z którym zmagają się „toreador”. W kolejnej epoce, nazwanej przez Lévêque’a klasycyzmem, minojscy malarze skupiali się na ludziach. Najlepszym przykładem tego stylu jest fresk ukazujący dziewczynę o ogromnych oczach, delikatnej twarzy i długiej szyi, nazwaną przez badaczy „Paryżanką”. Kolejna era to malarstwo stylizowane, freski wyobrażające procesje tragarzy niosących wazy czy kompozycje przedstawiające mężczyzn zmagających się z bykami. Minojczycy musieli być świetnymi jubilerami, bo zarówno kobiety, jak i mężczyźni z fresków mają na sobie klejnoty znalezione także w grobowcach. Archeolodzy odkryli również stół zrobiony m.in. z kości słoniowej, kryształu górskiego, złota, srebra, inkrustowany 72 margerytkami.

Zdaniem Lévêque’a świat Minojczyków cechowały pokój, dobrobyt, harmonijna organizacja społeczeństwa, miłość do życia i do piękna. Świat ten zniknął ok. 1400 r. p.n.e., kiedy na wyspie pojawili się najeźdźcy z Peloponezu (przez historyków nazywani Achajami, bo tak Homer określał w „Iliadzie” wszystkich Greków walczących pod Troją), którzy uprzednio opanowali Grecję kontynentalną. Prześiąknięci kulturą Krety minojskiej Achajowie zazdrościli Minojczykom ich bogactw i dość już mieli płacenia danin. Najpewniej wystarczyła im jedna bitwa, by zgnieść miejscowych oraz złupić i spalić Knossos, skoro po wiekach Evans nie znalazł tam wielu cennych przedmiotów.

Kreta przeżyła jeszcze niejedną inwazję oznaczającą nadejście nowych panów. W 66 r. p.n.e. Rzymianie zamienili wyspę w swoją prowincję. W 324 r. Rzym przestał być stolicą i został zastąpiony przez Bizancjum, Kreta stała się częścią wschodniego cesarstwa. W latach 824-961 przeszła pod panowanie Arabów, by potem znowu wrócić do Bizancjum. Aż w 1224 r., w wyniku IV wyprawy krzyżowej, zajęli ją Wenecjanie i utrzymali aż do 1669 r., kiedy wyparli ich stamtąd Turcy. Po udanym powstaniu antyturskim w 1898 r. Kreta stała się republiką pod protektorem Turcji, w 1908 r. ogłosiła nieuznaną przez świat niepodległość. W 1913 r. została włączona do Grecji.

Inwazja w nowym stylu

20 maja 1947 r. generałowie Bruno Bräuer i Wilhelm Friedrich Müller stanęli przed greckim plutonem egzekucyjnym. Sześć lat wcześniej Bräuer, wtedy pułkownik i dowódca I. Pułku Spadochronowego, razem ze swoimi żołnierzami wyskoczył z transportowego junkersa Ju-52 w rejonie Heraklionu. Mieli opanować lotnisko; podobne zadanie otrzymały dwie inne grupy spadochroniarzy zrzuconych w pobliżu Chanii oraz Retimno (wszystkie trzy miasta są na północnym wybrzeżu). Gen. Kurtowi Studentowi chodziło o lądowiska dla transportowców dowożących kolejnych żołnierzy mających wyprzeć aliantów z Krety.

Pod koniec kwietnia kampania bałkańska, która rozpoczęła się od lekkomyślnego ataku Benita Mussoliniego na Grecję 28 października 1940 r. i szybko pokazała słabość wojsk włoskich, co zmusiło Hitlera do przyścia im z pomocą, była już w zasadzie zakończona. 27 kwietnia czołgi Wehrmachtu wjechały do Aten, a kilka dni wcześniej zapadła decyzja o ewakuacji na Kretę i do Egiptu brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego wspierającego Greków. Po szybkim zajęciu Jugosławii i Grecji kontynentalnej Hitler mógł się skupić na przygotowaniach do ataku na ZSRR. Nie był szczególnie zwolennikiem zdobywania Krety, ale pamiętał o rumuńskich polach naftowych w Ploeszti. Posiadanie Krety przez Niemców utrudniłoby Bry-



▶ Żołnierze alianccy strzelali do będących jeszcze w powietrzu spadochroniarzy. Ci, którzy wylądowali żywi, walczyli z niezwykłą zaciętością. Kiedy zapadła noc, strzelanina ustała, a wyczerpanych Niemców zaczęło dręczyć pragnienie. W pobliżu studni Kretańcy zastawiali jednak na nich pułapki. Na zdjęciu (będącym fotomontażem) lądowanie spadochroniarzy gen. Kurta Studenta.

▶ Arthur Evans, odkrywca pałacu w Knossos, częściowo zrekonstruował budowlę, co nie wszystkim się spodobało. Na zdjęciu fragment odtworzonej wschodniej części pałacu.

tyjczykom atakowanie Ploeszti, a jego atawistyczny austriacki strach przed inwazją z południowego wschodu sprawiał, że uważał wyspę za pożyteczny szaniec morski - pisze brytyjski historyk Antony Beevor.

Gen. Student, nie wiadomo dlaczego, założył, że Kretańcy przyjmą najeźdźców z otwartymi ramionami. Uwierzył też w fałszywe dane wywiadu, jakoby na Krecie znajdowało się tylko 5 tys. brytyjskich żołnierzy, w tym ani jednego w Retimno i zaledwie 400 w Heraklionie. A także, że wspierający ich Nowozelandczycy i Australijczycy zostali ewakuowani do Egiptu i że na wyspie nie ma też żadnych oddziałów greckich.

Prawie 45-tysięcznymi siłami sprzymierzonych - Australijczyków, Brytyjczyków, Nowozelandczyków, jednak tylko w połowie odpowiednio przeszkolonych - i blisko 9 tys. źle uzbrojonych

Greków dowodził zasłużony w czasie I wojny światowej Nowozelandczyk gen. Bernard Freyberg. Nie zadbał on na leżycie o sprzęt łączności i kiedy jego żołnierze walczyli, często nie wiedzieli, co robią inne jednostki. Ponadto jako oficer starej daty zakładał, że Niemcy spróbują zdobyć Kretę za pomocą desantu morskiego. Nie zmienił tego poglądu także we wtorek 20 maja, kiedy zaczęli lądować spadochroniarze. Nadal spodziewał się ataku od morza, nie rozumiejąc, do czego zmierza przeciwnik. Mimo to alianci powitali napastników morzem ognia, pierwszego dnia inwazji zabili aż 1856 Niemców, w czym wspierali ich cywile. Jak pisze Beevor: *W obronie wyspy chłopcy, starzy mężczyźni, kobiety - wszyscy wykazywali zapierającą dech odwagę. Żołnierze niemieccy byli w dwójnasób poruszeni, że walczyły kobiety. Podejrzanym*

zdzierali sukienki z ramion. Jeśli miały siniaki od odrzutu karabinu albo złapane zostały z nożem w rękę, rozstrzelano je jak mężczyzn.

W nocy z 20 na 21 maja nieliczni niemieccy dowódcy, którzy przeżyli desant, uważali, że ponieśli klęskę. Ich zdanie podzielał odpowiedzialny za operację feldmarszałek Wilhelm List, gen. Wolfram von Richthofen i gen. Alexander Löhr. Jeden Student uważał, że nie należy jeszcze rezygnować i - jak się szybko okazało - miał rację, ponieważ tej samej nocy alianci popełnili dwa niewybaczalne błędy: gen. Freyberg nie zarządził kontrataku mogącego dobić dziesiątkowanych spadochroniarzy, a płk Leslie Andrew zgodził się na zaniechanie obrony lotniska Maleme, kilkanaście kilometrów na zachód od Chanii. Uznał, że trzeba stamtąd wycofać żołnierzy, bo za dnia zmasakruje je Luftwaffe. Niemcy szybko się w tym zorientowali, ale musieli jeszcze wiedzieć, czy z lotniska da się korzystać, czy też ostrzał wroga to uniemożliwia. Gen. Student poprosił znakomitego pilota kpt. Oskara Kleyego, by o brzasku 21 maja spróbował wylądować na zachodnim skraju lotniska. Kiedy mu się to udało, generał nakazał przerzucenie do Maleme żołnierzy 5. Dywizji Górskiej.

Niemców kosztowało to wiele krwi, ale dokonali przełomu: mieli lotnisko i mogli dowozić nowe siły i zaopatrzenie. Gen. Freyberg nakazał kontratak, ale ponieważ wciąż oczekiwał desantu z morza, użył zbyt małych sił, by był on skuteczny. 27 maja Luftwaffe obróciła Chanę w perzynę, zniszczyła m.in. 13 pałaców weneckich z XV i XVI w. i pozostawiła nietkniętą nabrzeże portowe.

Część sprzymierzonych dotarła na południowo-zachodnie wybrzeże, skąd okręty Royal Navy zabierały ich do Egiptu. Alianci stracili 4123 ludzi, a do niewoli poszło 17,5 tys. żołnierzy. Niemcy - prawie 2 tys. zabitych oraz 1759 zaginionych.

Krwawa okupacja

Niemcy byli wściekli z powodu masakry spadochroniarzy, raczej nie spodziewali się, że alianci będą do nich strzelać w trakcie opadania. Ale największą nienawiść odczuwali do miejscowych, których obwiniali o zbrodnie popełniane na rannych i bezbronnych żołnierzach. 31 maja gen. Student zarządził drakońskie represje - Niemcy rozstrzelali ludzi uznawanych przez siebie za winnych, stosowali odpowiedzialność zbiorową, paląc całe wsie, zabijali wszystkich mężczyzn na danym terytorium. Na nic zdały się protesty części oficerów czy stanowisko płk. Bräuera, który opowieści o torturowaniu spadochroniarzy traktował jako zmyślenie. Mimo to, gdy był komendantem Krety, Niemcy rozstrzelali prawie 700 partyzantów oraz 180 mężczyzn zgodnie z rozkazem odpowiedzialności zbiorowej. Kolejny komendant, gen. Müller zwany „Rzeźnikiem Krety”, okazał się znacznie bardziej bezwzględny w zwalczaniu partyzantki.

Nienawiść Kretańczyków do Niemców była wielka, ale jeszcze większa do rodzimych kolaborantów. *Na wyspie z tak długą tradycją pozostawania pod okupacją i buntowania się jak Kreta - pisze Beevor - musiało się rozwinąć instynktowne przekonanie, że zdrajców należy traktować bez litości. W 1945 r. już po kapitulacji Niemiec, pewien niemiecki agent [po schwytaniu] błagał, aby pozwolono mu popełnić samobójstwo. Wtedy w pewnej odległości od skraju urwiska połamano mu nogi ciężkimi kamieniami, aby musiał się doczołgać przez resztę drogi i sam zsunąć w przepaść. Incydent ten był jednym z wielu aktów zemsty i nie należał do najbardziej okrutnych.* ●

Korzystałem m.in. z: Antony Beevor, „Kreta: Podbój i opór”, Kraków 2011, Pierre Lévêque „Świat grecki”, Warszawa 1973, Jan Parandowski „Mitologia”, Warszawa 2008



Za tydzień:

W wystającej ponad wodę części kadłuba na wpół zatopionego okrętu podwodnego HMS „Thetis” wystarczy wywiercić otwory i wtłoczyć powietrze, a uwieczona w nim prawie setka ludzi ocaleje. Gdy ratownicy proszą dowództwo Royal Navy o zgodę na tę operację, w odpowiedzi długo nie mogą uwierzyć. Brytyjska admiralicia zakazuje wierzenia jakichkolwiek otworów.



Sprawdź prenumeratę cyfrową „Gazety Wyborczej” od 0,99 zł wyborcza.pl/prenumeratacyfrowa

alehistoria
 REDAGUJĄ: **Mirosław Maciorowski, Piotr Nehring, Włodzimierz Kalicki, Adam Leszczyński, Beata Maciejewska, Andrzej Olejniczak, Paweł Smoleński, Bartosz T. Wieliński, Józef Krzyk, Jerzy B. Wójcik** oraz zespół dziennikarzy „Gazety Wyborczej”. FOTODYTOR: **Łukasz Sala**, PROJEKT GRAFICZNY: **Piotr Stańczak**, ADRES REDAKCJI: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, telefon: 22 555 43 83, e-mail: alehistoria@agora.pl, internet: wyborcza.pl/alehistoria
 Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich skracania i redagowania.